

Kasia Bulicz-Kasprzak



*Nie licząc kota,
czyli kolejna historia miłosna*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Rozdział drugi,

w którym poznaję i nie poznaję różnych ludzi

Łukasz odwiózł mnie na Centralny.

– O niczym nie zapomniałaś? – zapytał po raz nie wiadomo który.

Sprawa miała wrażenie bardziej przejętego ode mnie. Ja przynajmniej miałam powody. Musiałam przecież jechać przez całą Polskę po pudło szpargałów po starszej pani.

– Zadzwoń, gdy tylko dojedziesz. Na pewno wzięłaś ładowarkę?

– Łukasz, nie zachowuj się jak moja matka – upomniałam go. – Jestem już duża, poradzę sobie.

– Nie wątpię, ale jakoś tak się denerwuję.

– Wszystko będzie w porządku, nawet nie zauważysz, że mnie nie ma.

Wniósł walizkę do wagonu i położył na półce. Bałam się, że jeszcze poprosi kobietę, która siedziała ze mną w przedziale, żeby się mną opiekowała.

Po całonocnej podróży, wymięta i zmęczona, dotarłam wreszcie na miejsce. Rozejrzałam się dookoła. Wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak zapamiętałam. Pociągnęłam walizkę. Jej kółka zaturkotały na kocich łbach, a ja poczułam się jakoś strasznie nie na miejscu. „Załatwię wszystko najszybciej,

jak się da, i wracam do domu” – postanowiłam. Z mieszaniną smutku i złości pomyślałam, że kiedyś tu był mój dom.

Wolnym krokiem ruszyłam w kierunku ulicy Bankowej, przy której mieściła się kancelaria notariusza. Byłam z nim umówiona dopiero na pierwszą, ale miałam nadzieję, że go zastanę. Nie bardzo wiedziałam, co mogłabym tu robić przez cztery godziny. Przecież nie będę zwiedzać miasta.

Kiedy dotarłam na miejsce, sprawdziłam w terminarzu numer mieszkania i nacisnęłam guzik w domofonic. Nic działał. Spróbowałam więc najprostszej metody – pchnęłam drzwi. O dziwo, były otwarte i mogłam wejść na klatkę.

Mieszkanie numer sześć mieściło się na ostatnim piętrze. Nie było to uczciwe wobec kogoś, kto tachał dużą walizkę. Na dodatek cały czas miałam wątpliwości, czy dobrze trafiłam, bo na zaniedbanej klatce schodowej brakowało jakichkolwiek informacji o biurze. Dopiero na półpiętrze zobaczyłam przykręconą do ściany metalową strzałkę z napisem „Notariusz”, na której ktoś markerem dopisał „DUPA”. „Witaj w domu” – pomyślałam.

Drzwi pod numerem szóstym były lekko uchylone. Zapukałam, ale nie doczekałam się odzewu. Pchnęłam je na tyle, by móc zajrzeć do środka, ale zobaczyłam niewiele – czysty korytarz z podłogą wyłożoną szarymi panelami oraz sufitem pomalowanym na niebiesko. I kilka krzesel, jak w poczekalni u lekarza. Wsadziłam głowę w szparę najdalej, jak mogłam. Z głębi mieszkania dochodziły szelesty świadczące o czyjejś obecności. Postanowiłam wejść i z głośnym „dzień dobry” przekroczyłam próg. Dopiero w trzecim pokoju kogoś zastałam. To był młody chłopak ubrany w czarny podkoszulek z wielkim liściem mari-

huany na plecach i w spodnie, które czasy świetności miały już dawno za sobą. Ale za to słodko opinały jego śliczny tyłeczek. Szybko zganiłam się za takie myśli. Robię się stara. Chłopak ustawiał jakieś książki na regale. Dookoła na podłodze stało kilka pudeł i mnóstwo woluminów luzem. Od jego uszu do tylnej kieszeni spodni biegł cienki, czarny kabelek. Wiedziałam już, dlaczego nie słyszał, gdy pukałam.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy poczekać, aż się odwróci, czy krzyknąć. W końcu zdecydowałam się na trzecie rozwiązanie. Wyciągnęłam rękę i delikatnie klepnęłam go w ramię. Zesztywniał cały. To był zły pomysł. Chłopak odwrócił się bardzo gwałtownie.

– O kurwa! Ale mnie przestraszyłaś – wycharczał, trzęsącymi się rękami wyjmując słuchawki z uszu.

– Pukałam – powiedziałam przepraszącąco. – Nie słyszał pan.

– Nie wątpię. – Pokręcił głową. – O kurwa – powtórzył.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Uśmiechnął się. Miał bardzo miły uśmiech i trochę więcej lat, niż początkowo sądziłam. – Specjalnie zostawiłem otwarte drzwi i w ferworze porządkowania dałem się zaskoczyć. No nic, co panią do mnie sprowadza?

– W zasadzie przyszedłam do notariusza – wyjaśniłam.

– Tak?

– Jeśli jeszcze go nie ma, to mogę poczekać.

Roześmiał się.

– To nie będzie konieczne. Notariusz to ja.

Zrobiło mi się głupio.

– Przepraszam.

– Już to pani mówiła. – Znowu się zaśmiał. – To o co chodzi?

– O testament.

– Nie uważa pani, że jest na to trochę za wcześnie?

– Wiem, byliśmy umówieni na pierwszą.

– Teraz ja przepraszam. To miał być żart. Tak, rzeczywiście byliśmy umówieni. – Notariusz przybrał profesjonalny ton:

– Pani Joanna Poraj?

Skinęłam głową. Czułam satysfakcję, że nie tylko mnie jest głupio.

– Szymon Ziębicki. Do niedawna syn w „Ziębicki i Syn. Kancelaria Notarialna”. A od wczoraj na własnych śmieciach, jak widać.

Pomyślałam, że dość szybko dopisali mu tę „dupę”. Widać sąsiedzi go nie polubili, dziwne, bo wydał mi się osobą, której nie sposób nie lubić. Wysoki, wysportowany i szalenie przystojny, wyglądał bardziej na studenta niż na urzędnika. Może to kwestia stroju? Pewnie gdybym zobaczyła go w garniturze, nie miałabym wątpliwości, kim jest. Jednak nawet tak ubrany wzbudzał we mnie zaufanie.

– Chce pani od razu zobaczyć dokumenty czy najpierw napijemy się kawy?

– Kawy – westchnęłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Super. Nastawię wodę, a pani... – zrobił szeroki gest naokoło – ...niech się rozgości.

Wyszedł, a chwilę później wrócił z dwoma kubkami parującego napoju. Usiadłam na plastikowym krzeselku, on zaś bezpośrednio na podłodze. Pomyślałam, że ma niewłaściwą perspektywę, bo akurat na wysokości jego oczu wypadały moje

fałdy tłuszczu. Wyprostowałam się nieznacznie i mocno wciągnęłam brzuch. Dmuchnęłam na gorącą kawę i pociągnęłam solidny łyk, parząc sobie przy tym usta. Poczułam, jak przyjemne ciepło rozlewa się po żołądku, a kofeina robi swoje w mózgu. Tego mi było trzeba.

– Pani ciotka była uroczą kobietą – zagaił notariusz.

No cóż, nie tak ją zapamiętałam.

– I do tego bardzo skrupulatną.

Z tym to akurat mogłam się zgodzić.

Popatrzył na mnie przenikliwie.

– Nie chce pani o niej rozmawiać?

Jasne, że nie chciałam. Ale głupio mi było się do tego przyznać.

– To nie tak. Jestem po prostu zmęczona. Jechałam całą noc.

– Usprawiedliwiłam swój brak zainteresowania osobą zmarłej, podobno uroczej, kobiety.

– Jeszcze kawy? A może ma pani ochotę coś zjeść?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Mam naprawdę świetne drożdżówki, kupiłem dziś rano.

– Zerwał się i wyszedł.

Kiedy zobaczyłam torbę pełną bułek, uświadomiłam sobie, jak straszliwie jestem głodna.

– Przepraszam, ale nie mam talerzyków – wyjaśnił notariusz.

A po co talerzyki. Machnęłam ręką i sięgnęłam po drożdżówkę.

– To miło, że podzielił się pan ze mną śniadaniem. – Mlasnęłam. Miał rację, bułka była bardzo smaczna, z pewnym żalem włożyłam do ust ostatni kęs.

– Drobiazg. To co, zabieramy się do papierów? – zaproponował.

– Tak – zgodziłam się skwapliwie.

Pan Ziębicki rozejrzał się dookoła i wskazawszy palcem mały karton, stojący obok mojej nogi, powiedział:

– Może pani przysunąć to pudło? Gdy spełniłam prośbę, otworzył je i przez chwilę w skupieniu przeglądał zawartość.

– To nic ten. Przepraszam, mam tu jeszcze straszny bałagan. – Uklęknął i zaczął myszkować między innymi pakunkami. –

No, znalazłem. – Wyciągnął karton z napisem „Sprawy A–C”.

– Jest. Pani ciotka... zostawiła testament. – Szybko przebiegł wzrokiem po gęsto zapisanej kartce papieru. – Spisała go dwa lata temu. Jest pani jedyną spadkobierczynią. Dziedziczy pani mieszkanie, osiemdziesiąt siedem tysięcy złotych oszczędności oraz biżuterię wycenioną na piętnaście tysięcy złotych. Tu jest odpis. Chce pani przeczytać?

– Nie, zrobię to później. Czy to już wszystko?

– W zasadzie tak. Jeśli zdecyduje się pani przyjąć spadek, należy złożyć wniosek w sądzie. Wszystkim się zajmę, pani ciotka opłaciła już moje honorarium – wyjaśnił.

Jeszcze raz popatrzył na dokument. Czekał, aż coś powiem.

– Wie pan, zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam – wyznałam. – Myślałam, że będziemy siedzieli naprzeciwko siebie przy wielkim dębowym biurku. A tymczasem załatwiamy sprawy na podłodze i pijemy kawę.

– Nie dała mi pani szansy. Gdyby przyszła pani na pierwszą, wszystko byłoby jak trzeba.

– Czy to już wszystko? – powtórzyłam.

Popatrzył na kartony.

– Nic. Są jeszcze meble, książki...

– Pytałam, czy to koniec formalności. Chciałabym się wyśpać – wyjaśniłam.

Napięcie opadło, poczułam się znużona. – Właściwie to dopiero początek, ale reszta może spokojnie poczekać. – Podniosłam się, poprawiłam spódnicę i wzięłam walizkę.

– Proszę mi powiedzieć, czy ten hotel obok kina jeszcze działa? – Mimo sugestii Łukasza olałam sprawdzenie bazy noclegowej, licząc, że znajdę coś na miejscu. W końcu to nie był kurort w sezonie, tylko zwyczajna senna miejscina.

– Hotel? Tak. Może jednak wołałaby pani iść do domu? – Wygrzebał z pudła klucze i podał mi je.

W pierwszej chwili myślałam, że chodzi mu o jego własny dom, i chciałam grzecznie, acz stanowczo odmówić. Dopiero widok znajomych kluczy, moich własnych kluczy ze smętnie dyndającym przy nich łańcuszkiem, uświadomił mi, dokąd miałabym pójść. Ta perspektywa wydała mi się nieprzyjemna, bo przecież jeszcze do niedawna ona tam mieszkała. Głupio mi jednak było się do tego przyznać. Wzięłam więc klucze i walizkę, uprzejmie podziękowałam za propozycję pomocy, bo jestem kobietą niezależną (a przynajmniej lubię tak o sobie myśleć) i poradzę sobie. Umówiłam się na następny dzień i ruszyłam w stronę starego rynku.

Mieszkaniec ciotki mieściło się w dwupiętrowej narożnej kamienicy po południowej stronie rynku. Mówiło się o niej „przedwojenna”. Na parterze działał sklep – przez wiele lat obuwniczy, a teraz spożywczy. Nad nim mieszkała ciotka,

wyżej było jeszcze jedno identyczne mieszkanie, pod dachem zaś – niski stryżek. Kiedy byłam mała, bardzo mnie fascynował. Stały tam stare meble i jakieś skrzynie, do których zawsze chciałam zajrzeć, bo liczyłam, że kryją niezwykle skarby. Kiedy podrosłam, ciotka przypadkiem spełniła moje dziecięce marzenie, posyłając mnie na strych z praniem. Skrzynie były puste, ale zapach wilgotnej ziemi wskazywał, że służyły do przechowywania ziemniaków. Meble okazały się kupą rupieci. Teraz przyszło mi do głowy, że tak samo pewnie będzie z mieszkaniem ciotki. W dzieciństwie postrzegałam je jako sezam pełen niezliczonych skarbów – biżuterii, starych książek z barwnymi ilustracjami. Najcenniejszym przedmiotem była dla mnie jednak pozytywka z ubraną w maleńką sukieneczkę baleriną. Dałabym wszystko, żeby ją mieć. „A teraz jest twoja” – szepnął jakiś głos w mojej głowie. Na samą myśl o tym poczułam niesmak. Już jej nie potrzebowałam. Nie potrzebowałam też tego wszystkiego. Mogłam się zrzec spadku, ale to wywołałoby lawinę kłopotliwych pytań ze strony mojej matki. Właściwie to ona powinna była wszystko odziedziczyć. Dlaczego Wanda tylko mnie wymieniła w testamencie? Czy był to rodzaj zemsty? Ostatnia krzywda, jaką mogła mi wyrządzić? Pomyślałam, że najchętniej już dziś wróciłabym do domu, do Łukasza.

Całonocna podróż pociągiem robi swoje z mózgiem. Mój był lekko oklapnięty i nawet kawa nie bardzo mu pomogła. Może dlatego skręciłam z Brackiej w złą ulicę i trochę błądziłam, zanim dotarłam przed dom. Zadarłam głowę i popatrzyłam w okna mieszkania ciotki. Cztery z nich wychodziły na rynek, dwa na boczną uliczkę, którą właśnie szłam. Były poza-

mykane, ale na zewnętrznym parapecie stały skrzynki z pelargoniami. Ciotka Wanda zawsze lubiła kwiaty. Nikt nawet nie pomyślał, żeby je stamtąd zabrać.

Przed bramą musiałam chwilę zaczekać, bo z podwórka właśnie wyjeżdżał samochód dostawczy – pewnie zaopatrzenie sklepu. Weszłam na klatkę, a następnie po drewnianych skrzypiących schodach na górę. Miały piękne, rzeźbione balustrady, a na półpiętrach w podesty wpuszczone były metalowe kraty. Jako dziecko nie chciałam na nich stawać. Bałam się, że zerwą się pod moim ciężarem i spadną. Wyjęłam z kieszeni pęk kluczy. Ciągle był do nich doczepiony łańcuszek od breloczka, który dawno temu przepadł. Trzy zamki – trochę potrwa, zanim dostanę się do twierdzy. Nagle usłyszałam nad sobą szuranie.

Na półpiętrze stała kobieta, która wyglądała jak sprzedawczyni z czasów Peerelu – nosiła nonajronowy fartuszek i płócienne trzewiki wiązane solidnymi szarymi sznurówkami. Miała trwałą i siwe odrosty.

– Pani do kogo? – zapytała lekko skrzekliwie.

– Do pani Czaplínskiej – odparłam. Głupio mi było powiedzieć, że do siebie.

– A to jej pani nie zastała – oznajmiła z żalem. – Coś przekazać?

Zrobiło mi się jakoś dziwnie. Moja ciotka była dziwaczką, ale chyba nie posunęłaby się do takiej, iście filmowej mistyfikacji, żeby mnie do siebie zwabić? W ułamku sekundy przeleciało mi przez głowę sto myśli, począwszy od tego, że ciotka żyje, a skończywszy na tym, że albo ja pomyliłam domy, albo ta kobieta jest pomyłona.

– Z tego, co mi wiadomo, pani Czaplińska nie żyje – powiedziałam powoli i dobitnie.

– A tak, to prawda. – Złapana na kłamstwie wcale nie wyglądała na zawstydzoną.

– Jestem jej siostrzenicą – wyjaśniłam.

– Z tego, co mi wiadomo – przeciągała samogłoski, ewidentnie mnie przedrzeźniając – pani Czaplińska nie miała siostry.

– Nie muszę się pani tłumaczyć – ucięłam stanowczo.

– Mnie nie, ale milicji tak. – I krzyknęła w stronę swojego mieszkania: – Józik! Dzwon na MO, jakaś złodziejka się kręci pod drzwiami Wandzi!

Chyba liczyła, że ucieknę, i prawdę mówiąc, miałam na to straszną ochotę. Dwa dni temu byłam normalnym nauczycielem akademickim z kartą miejską i dorobkiem naukowym w postaci kilku publikacji. A dziś uczestniczyłam w komedii omyłek – najpierw ja wzięłam notariusza za chłopaka od sprzątanania, teraz sprzątaczką wzięła mnie za złodziejkę.

Nagle uświadomiłam sobie, że kobieta coś powiedziała i czeka na odpowiedź.

– Mogłaby pani powtórzyć? – poprosiłam.

Popatrzyła na mnie jak na niedorozwiniętą umysłowo.

– Milicja już jedzie. Na miejscu paniusi bym się zbierała, bo inaczej... – Stuknęła pięścią o pięść, co chyba miało oznaczać zakucie w kajdanki.

– To raczej pani się dostanie za zawracanie głowy policji.

Słyszac to, tylko pogardliwie wydeła usta.

– Bo widzi pani, to jest teraz moje mieszkanie. Ciocia zapisała mi je w spadku – oznajmiłam.

Twarz kobiety rozpromieniła się niesamowitym blaskiem.

– Jaka tam pani, Joasiu, co ty, cioci Lucynki nie poznajesz?
– Niemal sfrunęła po schodach i rzuciła się mnie obściskiwać.
– No, aleś ty wyrosła! Ho, ho! Śliczna pannica z ciebie. I wykapywany ojciec. No, nie wyparłby się w sądzie za nic. No dobra, chodź do mnie, to się spokojnie herbatki napijemy i pogadamy.

Ciocia Lucynka? Zawsze była zwykłą sąsiadką z góry. Postarzała się bardzo, dlatego jej nie poznałam. Jednak posłusznie wzięłam walizkę i poszłam za nią na górę.

– Siadaj, dziecko, siadaj. – Posadziła mnie na drewnianym taborecie przy nakrytym kwiecistą ceratą stole. – Już robię herbatki. I nalala wody do wielkiego, aluminiowego czajnika z gwizdkiem. Potem postawiła przede mną szklankę i metalową puszkę z herbatą granulowaną.

– Nasyp sobie, ile uważasz.

Wsyłałam czubatą łyżeczkę.

– To za mocna będzie – stwierdziła i bez ceregieli odsypała trochę granulek z mojej szklanki z powrotem do puszek. – Zjesz coś?

– Nic, dziękuję, już jadłam śniadanie – odmówiłam grzecznie. – Nic powinna pani zadzwonić na policję, że wszystko w porządku? – Przypomniałam sobie.

Pani Lucyna – ksywa Ciotka – puściła do mnie oko.

– Blefowałam – przyznała się. – Myślałam, że chcesz obrobić mieszkanie po zmarłej. Wandzia dała mi klucze, żeby się nim opiekowała. Prawdę mówiąc, to spodziewaliśmy się ciebie wcześniej. Twoja matka mówiła, że na pogrzeb nie przyjedziesz przez jakąś różnicę czasu. No ale myślałam, że będziesz dzieć, góra dwa później.

– Nie mogłam, pracowałam – bąknęłam i zaczerwieniłam się pod jej pełnym wyrzutem spojrzeniem.

– Wy młodzi to tylko praca i praca. A co to dzisiaj za praca? – Machnęła ręką z lekceważeniem. – Jak ja pracowałam w geście, o to była praca. Każden mnie uważał, pieniądze były, a co człowiek do domu kawy naniósł, herbaty, rajstop... Wszystko z remanentów, prawie darmo. A ty tak naprawdę to nie bardzo ją lubiłaś?

Kiwnęłam głową, choć nie bardzo się zorientowałam, czy mówi o mojej pracy, czy o ciotce.

– To było widać. Pamiętam, jak z nią koty darłaś za młodu. Trudny charakter miała. I ze mną się nieraz awanturowała, ze strach. Że niby hałas. Jak zachorowała, to dopiero złagodniała. Tak się bardziej zaprzyjaźniłyśmy. Raz mi mówi: „Wszystko, co mam, Asi zapiszę, bo ona jest jak moja wnuczka. A obcym nie dam. Jakby Helenka w kraju była, to bym jej wszystko dała, a tak to Asi”. I to racja, co ma dla obcych iść. – Pani Lucyna pokiwała ze smutkiem głową. – Ona na koniec to bardzo żałowała, że nie zgodziła się wyjechać, jak ją twoja matka chciała zabrać. Mówiła, że miałby ją kto za rękę trzymać, jak będzie szła na tamtą stronę. – Otarła łzy fartuchem. – No a teraz i ja zostałam sama. – Westchnęła ciężko kilka razy.

– No a pan Józik?

– O, z niego to już też nie ma żadnego pożytku. Jak był młody, to skakał, cieszył się. A teraz głuchy, ślepy. I na spacer muszę go wynosić, bo po schodach nie zejdzic.

– Oj, to musi być pani bardzo ciężko – powiedziałam z największym udawanym współczuciem, na jakie było mnie stać.

– Nie jest tak źle, w końcu to tylko jamnik, chociaż trochę zapasiony. Z trudem przelknęłam herbatę, którą miałam w ustach, i wybuchłam śmiechem.

– Przepraszam, myślałam, że mówi pani o mężu – wyznałam.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Bogu dzięki, ta szuja już od dziesięciu lat ziemię gryzie. I uwierz mi, dziecko, prędzej bym go oknem wyrzuciła, niż zносиła po schodach.

Podziękowałam, gdy pani Lucyna zaproponowała, że doleje do moich fusów jeszcze trochę wody. Wyjaśniłam, że jestem bardzo zmęczona i chciałabym odpocząć. Pomogła mi znieść walizkę, a właściwie mimo moich protestów sama ją zniosła i otworzyła mi drzwi. Chciała jeszcze pokazać, gdzie co jest, więc prawie siłą wypchnęłam ją za drzwi. Dopiero kiedy zatrzasnęłam wielką zasuwę, uznała, że to koniec widzenia na dziś, i z niechęcią poczłapała na górę. Odetchnęłam z ulgą. Nie umiem postępować ze starymi kobietami. Moja matka ma taką umiętność, ja nie. Może została tak wychowana, a może się z tym urodziła. W każdym razie odnosi się z niesamowitym wprost szacunkiem do osób starszych, co zwykle jest zauważane i nie pozostaje bez odzewu.

Kiedy rozejrzałam się po mieszkaniu, poczułam pewne zaskoczenie. Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się, że coś się tu zmieni. Tymczasem wszystko było tak, jak zapamiętałam. Może trochę starsze, bardziej zużyte, ale poza tym niezmiennione.

Przez całe mieszkanie ciągnął się wąski ciemny korytarz. Pierwsze drzwi prowadziły do małego pokoiku, który kie-

dyś zajmowała jakaś stara kobieta, chyba mama ciotki Wandy. Jak przez mgłę pamiętałam jej zasuszoną twarz i wielkie, smutne oczy. Kiedy byłam bardzo mała, siadałam na jej łóżku, śledząc wzorki na niezliczonej ilości falban przy poduszkach. Czasem przy tym zasypiałam. Kiedy podrosłam, zdarzało się, że musiałam nocować u ciotki, bo mama miała nocny dyżur, a ojca wzywali do fabryki. Albo obydwójce stali w kolejce społecznej po telewizor. Ciotka ścieliła mi wtedy w tym pokoju, a ja bałam się zasnąć, bo wyobrażałam sobie, że ta stara kobieta ciągle tu jest. Pozbyłam się tej fobii, kiedy zamieszkałam tu na trzy lata po wyjeździe rodziców. Pokój był wtedy moją sypialnią.

Dalej znajdowała się łazienka, na którą przerobiono spiżarnię i dlatego miała dwoje drzwi. Można było wejść do niej z korytarza i z kuchni. Zawsze należało pamiętać więc o zamknięciu drzwi od wewnątrz na małe haczyki.

Za przechodnią kuchnią mieściła się mała jadalnia z dużym stołem i sześcioma krzesłami, a dalej salon. Kiedy byłam mała, wydawał mi się cudowny. Stare obrazy, meble, mnóstwo kap, poduch. I pianino, do którego nie wolno mi się było zbliżyć, od kiedy się okazało, że nie mam za grosz słuchu.

Postawiłam walizkę w przedpokoju i z pewnym podnieceniem weszłam do mojej dawnej sypialni. Nic się nie zmieniło. Łóżko, mała szafa i komoda stanowiły całe wyposażenie tego ładnego, przytulnego pokoju. Nic więcej by się zresztą nie zmieściło. Ozdobiony był różnymi drobiazgami. Na ścianach wisiały kiczowate widoczki. Na komodzie stało zdjęcie mojej mamy i rzeźbione pudełko na biżuterię z cepelii, które dostałam od rodziców na Gwiazdkę, gdy byłam w szóstej klasie.

Otworzyłam je odruchowo. Z rozrzwinięciem wyjęłam stare kolczyki z modeliny.

W powietrzu unosił się lekki zapach stęchlizny połączonej z lawendą i naftaliną, mieszanka typowa dla rzadko wietrzonych pomieszczeń. Otwarcie okien z pewnością pomoże. Odsunęłam grube firany i ciężkie zasłony. Pokój natychmiast zalała fala światła słonecznego, a kiedy otworzyłam na oścież okna, wypełnił go także uliczny hałas, dzięki czemu przestałam się czuć jak w muzeum.

Zadowolona z siebie, poszłam najpierw do kuchni, żeby nastawić wodę na prawdziwą herbatę, a potem do łazienki. Kiedy już się umyłam i przebrałam, zrobiłam sobie wycieczkę do sklepu na dole po małe zakupy. Nie chciałam się obudzić w środku nocy głodna, a potem liczyć godzin do świtu. Pewnie był tu przynajmniej jeden sklep całodobowy, ale nie miałam zamiaru łączyć nocą po, bądź co bądź, już obcym mieście.

Znalazłam sobie poduszkę oraz przyzwoicie wyglądający koc i już zamierzałam się pod nim zakopać, kiedy uświadomiłam sobie, że z tego wszystkiego zapomniałam zadzwonić do Łukasza.

– Cześć, mówi Łukasz Strzelecki. Nie mogę teraz odebrać. Zostaw krótką wiadomość. Oddzwonię – poinformowała mnie jego poczta głosowa.

– Cześć, mówi Asia. U mnie wszystko w porządku. Odziedziczyłam mieszkanie, bez jajka. Pa! – Przechwilę zastanawiałam się, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze, ale zanim się zdecydowałam, mój czas minął i miła pani zaproponowała mi odsłuchanie wiadomości. Rozłączyłam się i odłożyłam telefon.

Jakiś czas wpatrywałam się w niego tak, jakbym miała mu za złe, że Łukasz od razu nie oddzwania, ale zaraz przymknęłam okno, przykryłam głowę kocem i zasnąłam.

Obudziło mnie uczucie, że jestem obserwowana. Od tysięcy lat człowiek buduje cywilizację, a jednak nie pozbył się atawizmów z czasów, kiedy mieszkał w jaskini. Gdy podczas snu ktoś się na ciebie gapi, zawsze się budzisz i zawsze wiesz dlaczego.

Pierwszą, najbardziej makabryczną myślą, jaka przyszła mi do głowy, było to, że stoi nade mną duch ciotki. To uczucie z pewnością pozwoli mi w zupełnie nowym świetle interpretować *Hamleta*. Czułam, jak włosy stają mi dęba. Nie tylko te na głowie, ale te małe na rękach też.

Potem pomyślałam, że może to jakiś złodziej wszedł przez otwarte okno. Zamierzał obrobić tę chatę i nie spodziewał się niczyjej obecności. Nie miałam nawet dokąd uciec. Zabije mnie jak nic. Zamarłam, a serce łomotało mi jak szalone. Uświadomiłam sobie, że jedynym dźwiękiem, który rozlega się w pokoju, jest jego bicie. Gdyby znajdował się tu ktoś poza mną, z pewnością nie byłoby tak cicho. Na pewno usłyszałabym oddech, przelykanie śliny. W końcu drżącą ręką zsunęłam z siebie koc i zmusiłam się do otwarcia oczu. Naprzeciwko mnie w ciemnościach zabłyśły zwierzęce oczy. Krzyknęłam, zanim zdałam sobie sprawę, że to tylko kot. Wielki jakiś i równie czarny jak noc. W jego błyszczących szafirowych ślepiach migotała pogarda.

– Kici, kici! – zawołałam.

Wyciągnęłam do niego rękę. W tym momencie kot prychnął i jak strzała pomknął pod szafę. Wstałam i ruszyłam w jego stronę.

– Hej, nie bój się mnie. – Jeszcze raz przyjacielsko wyciągnęłam rękę.

Ale kot tylko wpełzł jeszcze głębciej.

– Jak chcesz. – Dałam za wygraną. – Ja idę spać. Niczłe mnie przestraszyłeś.

I wróciłam na kanapę. Przy okazji sprawdziłam telefon. Nikt nie dzwonił, nikt nie wysłał nawet krótkiego, króciutkiego SMS-a. Zrobiło mi się smutno.

Moja człowiek zdechnęła. No niby nie ma się czemu dziwić. Stara była, a wszystko stare zdycha. Ale z drugiej strony była stara, od kiedy ją znałem, więc mogłem myśleć, że u niej taki stan jest normalny, no nie? Tymczasem któregoś dnia zdechła. Macnąłem ją łapą, tak dla pewności. Była zupełnie taką jak zdechnięta mysz. Zdechniętych lepiej nie jeść, mogą być utrute. Myszy znaczy. I można potem wymiotować tak, że oczy na wierzch wychodzą. I żołądek. No ale to, że moja człowiek jest nieżywa, to jest smutne. Nie bardzo wiem, co ze mną będzie.

Przyszła ta człowiek z góry, której nie lubię. Pukała i pukała. Ale nikt nie otworzył i poszła sobie. A potem wróciła, i jeszcze raz. Ona jest głupia. Nie rozumie, że skoro w domu jestem ja i zdechnięta kobieta, to raczej nikt jej nie otworzy? A potem znowu przyszła, tylko z kimś. Mówiła takim piskliwym głosem jak mysz, gdy się ją przydusza. A potem ktoś krzyczał. A potem po prostu zaczęli walić w drzwi. To się schowałem. Ta z góry strasznie piszczała, ktoś ją próbował uciszyć, ale ona nic, tylko wydawała takie wysokie irytujące dźwięki. A potem zrobiło się jeszcze więcej człowieków. Długo czekałem, nawet po tym, jak się już zrobiło całkiem cicho. A kiedy wylazłem, to się okazało, że zabrali moją człowiek i wtedy to się dopiero poczułem samotny.

Człowiek z góry mnie karmi. Przychodzi rano, zmienia mi wodę i napełnia miskę. Woła mnie, ale nie wychodzę. Po co? Przecież jej nie lubię. Brzydko pachnie. Na dodatek jest stara. Kto wie, może też niedługo zdechnie. Nie chcę jeszcze bardziej tęsknić. To okropne. Boli w środku i w ogóle nie chce mi się jeść.

A dziś pojawiła się nowa człowiek. Jest zupełnie inna od tych, które znam. Chyba jest młoda. W ogóle to jej zapach jest bardzo dziwny. Człowieki zawsze używają tych dziwnych rzeczy, żeby maskować swój zapach. Moja stara człowiek też tak robiła. Miała taki do rąk i taki w szafie do ubrań. Ale one szybko wietrzały, a przy nogach to już zupełnie nic nie było czuć. Miała tylko taki zwykły człowieczy zapach. No i trochę czuć ją było mną, bo przecież była moja, no nie? Ta pachnie nie sobą bardzo. Nie pachnie też żadnym zwierzęciem ani młodymi. Ale na pewno ma samca. Dobrze ją zaznaczył. Musi już być z nim długo. Dziwne, po co jakiemuś samcowi samica, jeśli nie ma z nią matych?

Postanowiłem lepiej jej się przyjrzeć. To było najgorsze doświadczenie w całym moim życiu. Nie bałem się tak nawet wtedy, kiedy po raz pierwszy wlałem na drzewo. A wtedy to się bardzo straszliwie bałem. Do pewnego momentu mogłem po prostu zeskoczyć, ale pomyślałem, że jeśli będę szedł cały czas przed siebie, to dojdę do ziemi drugą stroną. To było głupie, wiem, ale niewiele wie się o drzewach w wieku trzech miesięcy. No i nagle było już za późno, żeby wrócić. Pozostało tylko krzyczeć z rozpacz. Potem okazało się, że wystarczyło się odwrócić i iść w dół, ale kto to mógł wiedzieć? No a dziś... Lepiej nie mówić. Wyszedłem ze swojego legowiska i pomyślałem, że zapoznam się z tą nową człowiek. Jest głupia, ale może dam jej szansę. Jest młoda i na dodatek samica, więc nie należy zbyt wiele po niej oczekiwać. Leżała sobie. Podchodzę spokojnie, łaszę się. A ona jak się nie zerwie, jak nie zacznie krzyczeć. Phy! Phy! Phy!

*

Rano obudziłam się zdezorientowana. Przechyliłam głowę nie wiedząc, gdzie jestem. Trochę trwało, zanim poukładałam sobie w głowie wydarzenia ostatnich dni. W końcu wstałam, zrobiłam kawę rozpuszczalną i od razu zatęskniłam za ekspressem Łukasza. Zjadłam czerstwą bułkę i rozejrzałam się za kotem. Nigdzie go nie było. Gdyby nie to, że pod stołem w kuchni stały dwie miseczki, a w przedpokoju kuweta, pomyślałabym, że tylko mi się śnił.

Chwilę potem wiedziałam już, że kot jest na sto procent realny. Koty ze snów nie obsikują ludziom cholernie drogich skórzanych walizek ich chłopaków. Musiałam szybko ratować walizkę i jej zawartość. Segregując rzeczy na te, które były obsikane, i te, które tylko śmierdziały kotem, obmyślałam fantastyczne sposoby uśmiercania sierściuchów. Byłam wściekła. Zaczęłam miotać się po mieszkaniu w poszukiwaniu tego cholernego zwierzaka. Miałam przebiegły plan złapać go i wywalić przez okno. Ale się gdzieś dobrze ukrył, a ja straciłam cały zapach.

– Nic to, ja poczekam. Musisz w końcu wyleźć zreć! – oświadczyłam kotu i postanowiłam zacząć się przy miskach. Potem zdałam sobie sprawę, że szanse na to, żeby przylazł do pustych misek, są marne, więc nalalam mu trochę mleka. I czekałam, od czasu do czasu wołając przymilnym głosem: „Kici, kici”.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Rzuciłam się do niego jak oszalała, myśląc, że to Łukasz. Ale to był tylko notariusz.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał.

– Jasne – odburknęłam.

– Pytam, bo miała być pani u mnie... pół godziny temu.

– O cholera! Już lecę.

I rzeczywiście niemal poleciałam. Wbiegłam po schodach, jakby to mogło mi pomóc nadrobić stracony czas. Na górę dotarłam zasapana jak mała lokomotywa.

Od wczoraj wszystko się tu zmieniło. Teraz biuro wyglądało profesjonalnie i bardzo elegancko. Notariusz siedzący za wielkim biurkiem przywitał mnie uroczym uśmiechem.

– Dobrze się spało? – Popatrzył na mnie uważnie.

– Raczej nickonicznie. Kot... Nie wiedziałam, że jest w mieszkaniu, i bardzo mnie w nocy przestraszył. – Pominęłam walizkową historię i inne kompromitujące szczegóły.

– Zapomniałem ci powiedzieć – wyznał skruszony. – Kot jest tu dość istotny, bo jego też odziedziczyłaś.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jest rasowy i wiele wart. Twoja ciotka go uwielbiała. Bardzo się martwiła, że kiedyś zostanie sam. Zastanawiała się nawet, czy w testamencie nie zawrzeć klauzuli, że otrzymasz spadek tylko wtedy, gdy zobowiążesz się do opieki nad kotem. Odradziłem jej to. Uznaliśmy, że będzie to jakby moralny warunek, od którego spełnienia będzie zależała realizacja zapisów testamentu. Przepraszam, ale wczoraj przyszłaś wcześniej, niż się umawialiśmy, i sprawy jakoś przybrały niewłaściwy obrót.

– Nic się nie stało – powiedziałam słodkim głosem. A w myśli dodałam: „Twoja skleroza kosztowała mnie ulubioną bluzkę, że o majtkach nie wspomnę”.

– Proponuję, żebyśmy przeszli na ty, bo już się przyzwyczaiłem. – Uśmiechnął się. – Gdybyś nie pamiętała, mam na imię Szymon...

– Pamiętam. Joanna. – Wyciągnęłam rękę, a on nią krótko potrząsnął.

– Miło mi. – Obdarzył mnie długim, ciepłym spojrzeniem.
– Już wcześniej było mi bardzo miło. – Puścił do mnie oko.
I zmienił temat. – To co, zabieramy się do roboty?

– A co mamy robić? – zapytałam.

– Na początek napijemy się kawy, a potem pomożesz mi ogarnąć biuro. Na szesnastą mam umówionego klienta, a jeszcze nie uporządkowałem dokumentów. Tymczasem wyjaśnię ci, co to jest otwarcie spadku i co musisz załatwić.

Kiedy Szymon powiedział mi wczoraj, że mieszkanie jest moje, naprawdę tak myślałam. Wydawało mi się, że idzie się do notariusza, ten mówi, co się odziedziczyło, i koniec. Tak zawsze przedstawiają to w filmach. Tymczasem, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem, musiałam załatwić masę formalności, od zdobycia swojego aktu urodzenia poczynając, na uzyskaniu aktu zgonu ciotki kończąc. Czekają mnie co najmniej dwie wizyty w sądzie. Ciotka nie miała poza nami żadnej rodziny. Przynajmniej tak twierdziła, jednak zawsze mógł znaleźć się jakiś daleki krewny. A to mogło skomplikować sprawę i jeszcze bardziej moje życie. Siedziałam z Szymonem prawie do czwartej. Pomagałam mu ustawiać książki i segregatory, a on pomagał mi przyzwyczaić się do myśli, że jutro nie wyjadę.

Gdy skończyliśmy, wyszłam na ulicę i odetchnęłam przyjemnym ciepłym powietrzem. Postanowiłam nie myśleć o tym, co mnie czeka, a skoncentrować się raczej na przyjemnych aspektach swojego pobytu w tym mieście. Mogłam na przykład wspominać przyjemne chwile, kiedy byłam nastolatką. Jeśli jakieś były. Życie nastolatki to kanał. Zbyt wiele pragnień, za duże ograniczenia i wszystkie hormony na twarzy. Ale prze-

cież musiało być coś przyjemnego. Na przykład ludzic. Znałam świetnych ludzi.

To chyba te wspominki sprawiły, że kobieta idąca z naprzeciwka wydała się znajoma. Po chwili jej uśmiech uświadomił mi, że to nie moja wyobraźnia, lecz rzeczywistość.

– Magda? – rzuciła niemal z zachwytem.

– No nie bardzo – odrzekłam.

– Czekaaj, czekaaj, zaraz sobie przypomnę... Poraj. Aśka Poraj!

– Bingo.

– Kopę lat.

– Tak. – Nawet nie próbowałam udawać, że wiem, kim ona jest. Może to była jakaś moja nauczycielka, a nie koleżanka z klasy, bo zdecydowanie wyglądała na zbyt wiele lat i kilogramów. Poczulałam się przy niej szczupło.

– Co ty tu robisz, czekaaj... No przecież zmarła twoja ciotka, tak? Przykro mi. – Zrobiła smutną minę dla podkreślenia słów. Ani jedno, ani drugie nie było przekonujące.

– Mnie również. – I to nie ze względu na ciotkę, tylko dlatego, że musiałam tu przyjechać, zamiast planować wakacje gdzieś na Dominikanic. Krótkie i nieliczne urlopy Łukasza spędzaliśmy zawsze, ku mojej uciechu, w takich egzotycznych miejscach.

– A co porabiasz? Czekaaj, słyszałam, że wyjechałaś do Stanów?

– To moi rodzice. Ja mieszkam w Warszawie – sprostowałam.

– Czekaaj, czekaaj, coś słyszałam. Stolica... Ale stolica to super. Tam to się dzieje. Nic to co u nas. – Smutno pokiwała głową.

Nic to, żebym była skłonna oceniać dopiero co poznanych ludzi, ale wątpił, że wyszłaby z domu, nawet gdyby Royal Shakespeare Theatre dawał przedstawienie przed jej drzwiami.

– Co u ciebie? – nie przestawała mnie przepytwać.

– W zasadzie nic ciekawego.

– Wyszłaś za męża?

– Nic.

– A ja tak, zaraz po maturze, za Roberta Wójcika. Pamiętasz? Chodził z nami do podstawówki, taki wysoki, przystojny?

Kiwnęłam głową. Jak przystojny, to nie mogę nie pamiętać. Inaczej to i fakt, że jestem sama, dałby jej powód do rozmyślenia nad moją orientacją seksualną.

– Założył z teściem warsztat samochodowy. Kupa Niemców do nas teraz przyjeżdża reperować auta.

– No co ty? To super. – Ucieszyłam się jak jakaś głupia. Z drugiej strony fakt, że chodziłyśmy razem do podstawówki, trochę mnie przeraził. Naprawdę źle wyglądała jak na swój wiek, więc chciałam ją pocieszyć.

– Czeka, a ty co robisz? – strzeliła we mnie kolejnym pytaniem.

– Wyk... To znaczy uczę, na uniwersytecie.

– Da się z tego wyżyć? – zainteresowała się.

„Jeszcze jak, zaspokaja głód intelektualny jak nic na świecie” – pomyślałam. Zanim jednak zdążyłam coś odpowiedzieć, kobieta trajkotała dalej:

– Dzieci masz?

Zaprzczyłam ruchem głowy.

– A ja tak, dwójkę uroczych urwisów. Patryczek był w tym roku u komunii, a Bartuś pójdzie od września do gimnazjum.

No mówię ci, nie ma to jak dzieci. No, muszę lecieć. Może byśmy się jeszcze spotkały, tak spokojnie pogadać?

– Jasne, będę tu jeszcze kilka dni. Na pewno się spotkamy.

Miałam nicodparte wrażenie, że zależy jej na tym tak samo jak mnie, czyli w ogóle. Przecież osiągnęła już cel – pochwaliła się dawno niewidzianej koleżance Niemcami i komunią.

Kilka następnych podobnych spotkań uświadomiło mi, że jest to swego rodzaju gra, która nazywa się *Kto się w życiu lepiej ustawił*. I z niewiadomych przyczyn zawsze ja przegrywałam. Punktacja wyglądała mniej więcej tak:

Mąż: brak = 0 punktów, jest = 1 punkt, mąż dobrze zarabiający = 2 punkty;

Dziecko: brak = 0 punktów, jedno = 1 punkt, dwoje = 2 punkty;

Mieszkanie: kawalerka w Warszawie = 1 punkt, góra w domu u teściów = 2 punkty.

Rodzice: w USA = 3 punkty, ale za własne, naiwne pozostanie w kraju 4 punkty karne. W sumie mogłam zaszpanować facetem, który jest prezesem banku (tak naprawdę to wice) i ma wielkie mieszkanie. Ale przecież to były osiągnięcia Łukasza, nie moje. Do swoich sukcesów mogłam zaliczyć jedynie nasz związek. Chociaż o tym też tak nie myślałam. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to od pewnego czasu czuję się tak, jakbym była z Łukaszem przez jakieś jego niedopatrzenie. Właściwie to psychicznie nastawiłam się na to, że pewnego dnia przyprowadzi do domu jakąś blond piękność i powie: „Przepraszam, skarbie, to miłość mojego życia”, a ja odpowiem: „Nie ma sprawy, zasiedziałam się, już zbieram swoje rzeczy i wychodzę”.

*

Na schodach czaiła się już na mnie pani Lucynka.

– A gdzie ty się tak cały dzień podziewasz? Martwiłam się. Schodzę rano, pukam, nic. Myślę: „Śpi, nie będę przeszkadzać”. Ale potem ze dwa razy jeszcze pukałam i nic. A ja obiad zrobiłam. No chodź, to ci przygrzeję. Ale taki przygrzewany to już nie to.

– Byłam u notariusza – wytłumaczyłam się grzecznie.

Kiedy bez przezwania łykałam zupę, prawdopodobnie jarzynową, pomyślałam, że podgrzewanie niewiele mogło jej zaszkodzić.

– No to opowiadaj, co załatwiłaś? – zapytała bez ceregieli Lucynka, nakładając mi na talerz porcję szklistych ziemniaków i polewając je obficie burym sosem.

Już miałam powiedzieć, że właściwie nic, ponieważ robiłam za pomocnicę w ekipie sprzątającej, ale w porę ugryzłam się w język, bo uświadomiłam sobie, jakie to będzie nieść ze sobą konsekwencje. Wyjaśniłam więc lakonicznie:

– Wszystko. Ale notariusz mówił, że załatwienie formalności jeszcze trochę potrwa.

Zabrała mój talerz, więc odetchnęłam z ulgą.

– Ale ty może chcesz dokładkę? – Popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Nie, nie! Dziękuję. Najadłam się. Prawdę powiedziawszy, dawno już tyle nie zjadłam.

– To nawet po tobie widać. Chudaś jak pies. – Przyjrzała mi się krytycznie.

Jeśli jak pies, to chyba jakiś bernardyn. Od kilku lat bezskutecznie próbowałam zrzucić z dziesięć kilo. Ważyłabym

wtedy równie szczęśliwa i byłabym szczęśliwa. Koncentrowanie się na kupowaniu wyszczuplających ciuchów, czarnych spodni i luźnych swetrów spędzało mi sen z powiek i psuło urok każdego zakupowego szaleństwa. Marzyłam o rzeczach w rozmiarze trzydziści osiem. Jeszcze intensywniej od czasu, kiedy Łukasz pojawił się w moim życiu, a wraz z nim ta jego chuda asystentka. Właśnie, Łukasz. Przypomniałam sobie, że muszę do niego zadzwonić.

– Przepraszam, mam jeszcze coś do zrobienia. Pójdę już.

– Nic zostaniesz na herbatę? – Lucynka nie kryła rozczarowania.

– Nic dziś. Może innym razem. – I zwałam, zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć.

Na progu mojego mieszkania powitał mnie dziwny zapach. Mdły i ohydny. Szybko zlokalizowałam jego źródło – kuweta. „Kurczę, muszę posprzątać po tym wstrętnym kocie, jeśli nie chcę siedzieć w tym smrodzie cały wieczór” – stwierdziłam z niezadowolaniem. Kuweta była wypełniona jakimś dziwactwem, które w ogóle nie przypominało piachu. Zaczęłam szukać zapasu takiego granulatu, ale bezskutecznie. Teraz zrozumiałam, dlaczego mama nie zgadzała się na żadne zwierzątka w domu. Niechętnie wróciłam na górę.

– Zmieniłaś zdanie! Wchodź, wchodź. – Lucynka promieniała. – Już nastawiam wodę. Smutno tak samej siedzieć, nie?

– Nic, ja tylko na chwilkę – sprostowałam. – Chciałam wyczyścić kuwetę. Nie wie pani, gdzie ciocia trzymała... no, to, co się do niej sypie?

– Zaraz ci pokażę. – Sąsiadka ucieszyła się, że może być pomocna. – Że też nie pomyślałam, żeby ci wszystko wytłumaczyć.

W mieszkaniu mojej ciotki czuła się bardziej u siebie niż ja. Bez problemów znalazła, co trzeba: żwirek, puszkę z jedzeniem, szczotkę, której raczej nie będą mogła użyć bez narażenia życia.

– ...to jest specjalny żwirek, nie musisz wymieniać wszystkiego, tylko te bryłki. – Zachichotała. – I łopatką do woreczka, o tak! Gotowe. Jak twoja ciotka leżała w szpitalu, czy teraz jak... – westchnęła – ...to ja wszystko przy nim robiłam. Nawet mówiłam, że jakby to pies był, to zabrałabym do siebie, ale kota mój Józiu nie zniesie. No, ale z tobą to on będzie miał dobrze. Tylko mleka mu więcej nie dawaj. Może mu poszkodzić.

A więc to on. To poniekąd tłumaczyło jego chamskie zachowanie.

– Piękny jest, prawda?

– Aha – przytaknęłam. Nie chciałam się przyznać, że jeszcze nie miałam okazji dobrze go obejrzeć. Zresztą dla mnie wszystkie koty są takie same, a ten dodatkowo był wredny i dziki.

– Taką kawę rozpuszczalną masz? Jeszcze takiej nie piłam. – Odczekała chwilę. – Jeszcze nie za późno dla mnie na kawę. Mam niskie ciśnienie. Sobie też robisz?

Przyparta do muru, nastawiłam wodę. Lucynka tymczasem rozgościła się w salonie.

– Normalnie dwie słodzę, ale do kawy to trzy! – krzyknęła. – Albo cztery! A ciasteczka jakiejś masz? Jak nie, to skocz na dół, kup ze trzydzieści deka. A może nawet z pół kilo?

To ostatnie usłyszałam, gdy byłam już prawie na klatce.

Lucynka siedziała i siedziała, aż skończyły się ciasteczka i kawa, i herbata, wymuszona słowami: „Mnie tyle kawy nie wolno, to źle na moje ciśnienie, ale herbatki nie odmówię”. W pewnej chwili zaczęłam się bać, że postanowiła zostać na noc. W końcu jednak sobie poszła.

Wyjęłam z kieszeni telefon. Biedny Łukasz. Ciekawe, gdzie jest o tej porze. W pracy, w domu czy w korku?

W końcu wybrałam numer stacjonarny. Po piątym dzwonku, kiedy już właściwie straciłam nadzieję, że odbierze, usłyszałam trzask i zmęczony głos.

– Słucham.

– Cześć, Łukasz, to ja.

– Cześć, skarbie! – Chyba się ucieszył. – Co słyhać?

– W porządku. Chciałam zadzwonić wcześniej, ale to był zwariowany dzień.

– U ciebie też? U mnie koszmar. Wczoraj siedziałem w biurze do północy. A dziś od rana zaliczyłem trzy spotkania. Wprowadzamy nowe lokaty. Plan jest taki...

– Mój ty biedaku! – przerwałam mu grzecznie. Nauczyłam się już, że nie należy pozwalać Łukaszowi mówić o pracy, jeśli rozmowa odbywa się na mój koszt.

– Nie jest tak źle. Gorzej, że dom pusty. Kiedy wracasz? – zapytał.

– To zależy.

– Od czego?

– Głównie od kota – zażartowałam.

– Jakiego kota? – zdziwił się.

– Wygląda na to, że odziedziczyłam kota. Nic bardzo wiem, co z nim zrobić.

– Bierz go i wracaj. Nie mam alergii, a tęsknię. Mru! – powiedział lekko zmysłowym głosem.

– Wiesz, to jeszcze trochę potrwa. Muszę założyć sprawę w sądzie. Głównie dlatego dzwonię. – Oj, to nie zabrzmiało zbyt dobrze. – Prześlesz mi mój akt urodzenia?

– A znaleźć? – W jego głosie słyszałam, jak bardzo jest zmęczony.

– W sypialni stoi takie duże pudło z IKEA. Tam są wszystkie moje dokumenty.

– Poczekaj chwilę. To w kwiatki?

– Tak. Poszukaj zielonej teczki.

– Mam. Z napisem „Studia”?

– Ta jest seledynowa. Potrzebujesz zielonej z napisem „Akty”.

– To ja mam jakieś twoje akty w domu i nic o tym nie wiem?
– znowu żartował.

Też się roześmiałam.

– Znalazłeś?

Odpowiedź poprzedził szelest kartek.

– Tak. Jest ten akt. I co, przefaksować ci to teraz?

„Jasne. Na komórkę” – pomyślałam i pośpieszyłam z dalszymi instrukcjami:

– Raczej przesłać. Dam ci adres.

– Wiesz co, może zrobimy inaczej. Wezmę to do pracy, a ty zadzwoń jutro do Angeliki i wytłumacz jej, co ma z tym zrobić
– zaproponował, ewidentnie znudzony już całą sytuacją.

– O, świetnie! – Ucieszyłam się bardzo nieszczerze. Nawet nie pofatyguje się dla mnie na pocztę? To takie trudne? Najgorsze, że ta lafirynda dowie się, ile naprawdę mam lat. Zostałam upokorzona. – Dzięki. Muszę kończyć. Pa! – I nie czekając na jego reakcję, rozłączyłam się.

Oczywiście od razu poczułam się źle. Byłam smutna i samotna. Sądziłam, że pogadamy dłużej. „Zmęczony jest” – usprawiedliwiłam go sama przed sobą. Miałam jednak tak silną potrzebę porozmawiania z kimś, że niewiele myśląc, zadzwoniłam do Szymona. Bo choć spędziłam w tym mieście pół życia, to teraz znałam tu tylko jego.

– Tak sobie pomyślałam, że może byś mnie odwiedził? – zaproponowałam nieśmiało. I od razu zrobiło mi się wstyd.

– Fajnie. – W jego głosie brzmiał szczerzy entuzjazm. – Przynieść piwo? Gorąco dzisiaj – dodał.

– Świetny pomysł – oświadczyłam. Dobrze, że do niego zadzwoniłam.

Szymon zjawił się zadziwiająco szybko. Może mieszkał niedaleko? Potem uświadomiłam sobie, że w tym mieście wszystko jest niedaleko.

Przyniósł ze sobą kilka piw w reklamówce. Na szczęście były zimne, bo do tej pory nie włączyłam lodówki. Wydawało mi się, że to bez sensu, przecież miałam tu zostać góra dwa dni.

– Super miejsce – powiedział Szymon. Nie miał jednak na myśli tylko wnętrza, ale również urzekający widok na ciemnoniebieskie niebo, park i ratuszową wieżę, który roztaczał się z szeroko otwartego okna.

Kiwnęłam głową. Z okien mojego mieszkania na Tarchominie widać było tylko inne bloki. Od Łukasza dało się co prawda zobaczyć kawałek Lasu Kabackiego, lecz także place budowy i ruchliwą ulicę.

A tu ruch zamarł już dwie godziny temu. Było cicho, spokojnie i pięknie, a my siedzieliśmy sobie w salonie, gawędząc przyjemnie o niczym.

– Co z nim zrobisz? – zapytał Szymon, podchodząc do okna, żeby wyjrzeć.

Podeszłam do niego.

– Z kim? – zdziwiłam się, bo w pierwszej chwili wydało mi się, że pyta o Łukasza, a przecież go nie znał.

– Z mieszkaniem. – Roześmiał się.

– Aha. Sprzedam.

Co innego mogłabym zrobić? Nie potrzebowałam go. Sprzedam i ostatecznie odetnę się od tego miejsca. Będę mogła spłacić kredyt za moją kawalerkę. Co prawda od czasu, gdy zaczęłam ją wynajmować, nie ciążył mi tak bardzo. Nie musiałabym jednak codziennie rano sprawdzać kursu franka szwajcarskiego. A Łukasz zamiast o polityce walutowej mógłby prowadzić ze mną długie rozmowy o miłości.

– Wpisz mnie na listę potencjalnych kupców – powiedział Szymon.

– Dobrze.

– Ale ja nie żartuję. Chętnie bym je kupił.

– Ja też nie żartuję. – Uśmiechnęłam się do niego.

A on odwdzieczył mi się tym samym. Te uśmiechy zawisły między nami i zamiast radości przyniosły jakieś dziwne napię-

cic. Szymon zrobił taki ruch ręką, jakby chciał mnic... No nie wiem, ale na wszelki wypadek odwróciłam głowę.

– Bardzo tu spokojnie – zauważyłam, żeby przerwać krępujące milczenie.

– Tak – przyznał z dziwną obojętnością.

Rozmowa przestała się kleić. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, a potem Szymon powiedział coś o tym, że pewnie jestem zmęczona. Ja nie zaprzeczyłam. Pożegnaliśmy się i wyszedł. Zostałam sama i bardziej samotna niż przed jego przyjściem. Ogarnęło mnie poczucie dojmującej pustki.

Ta samica jest dziwna. Taka nerwowa. Bez przerwy wchodzi i wychodzi. Była u tej na górze. Wróciła. Potem znowu gdzieś poszła. Stara taka nie była. Potrafiła długo siedzieć na jednym miejscu prawie bez ruchu. Niemal jak kot. Kładłem się na jej kolanach i tak drzemaliśmy przez całe popołudnie. W ciszy i spokoju. Kontemplowaliśmy siebie. Tęsknię za tym. Bardzo brak mi człowieka. Myśle, że mógłbym przyzwyczaić się do tej nowej, gdyby tylko nie była taka nerwowa.

Rano przekazałem jej znak przyjaźni i akceptacji. Prezent. Mój zapach. Mam dobry, mocny zapach. Wiele kocic mi mówi: „Masz dobry zapach, chcę mieć z tobą potomstwo o dobrym zapachu”. Stara człowiek często zabierała mnie do kocic. Dostawała za to cenny papier. Ciekawe, czy nowa też będzie mnie zabierać. Jeśli nie, to możemy nie mieć cennego papieru na moją rybę. Ja lubię dobrą rybę, a ta z góry mi nie kupuje. Ona jest skąpa dla mnie.

(...)



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

zing

Redaktor prowadzący *Joanna Wąjs*
Opicka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Anna Słowiak*
Korekta *Krzyszyna Lesińska, Jolanta Karaś*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12292-6

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Opolgraf SA